

Ks. JÓZEF PASTUSZKA

MOJE WSPOMNIENIA O BISKUPIE FRANCISZKU JOPIE

1. Uwagi wstępne

Każde poznanie jest swoistym psychicznym opanowaniem rzeczy, jest próbą dotarcia do jej istoty, zrozumienia jej dynamizmu istnienia i działania, jest zarazem stwierdzeniem jej dziwności i tajemniczości. Jest czymś zdobywczym, a zarazem aktem szacunku i podziwu dla tajemnicy bytu (platońskie „taumadzein”), którego struktura jest szeregiem nawarstwień idących w głąb. Zależnie od tego, do którego z tych nawarstwień dociera poznanie ludzkie, jest ono zmysłowe, opisowe, naukowe, filozoficzne. Znany aksjomat scholastyczny, że „byt jednostkowy jest niewyraźalny” (omne individuum est ineffabile) mówi o kulcie poznania i szacunku dla jego przedmiotu — rzeczywistości. Oznacza to, że każda rzecz jednostkowa nie da się poznawczo wyczerpać, a jej poznawcze ujęcie w definicji jest niepełne, gdyż nawet pod dostrzegalnymi formami zmysłowymi kryje w sobie tyle niedostrzegalnych treści ontycznych, włączona jest w tyle relacji, że one nie dadzą się zamknąć w żadnym pojęciu, w żadnej definicji. Zawsze zostanie coś tajemniczego, poznawczo niewyraźnego. Im na wyższym szczeblu w hierarchii ontycznej znajduje się dany byt jednostkowy, tym trudniejsze jest jego poznanie, choćby jego składowe części empiryczne były dobrze znane.

Na najwyższym szczeblu tej hierarchii znajduje się człowiek w układzie bytów względnych i najgłębszą otoczony jest tajemnicą dla siebie i dla innych. „Wielką głębią jest człowiek” — pisał św. Augustyn, im podobne myśli wypowiadają inni wielcy filozofowie i ludzie z dziedziny nauk pozytywnych, przyrodniczych. Trudności płyną z faktu wielowarstwowości człowieka, z zespolenia w nim tak bardzo odmiennych form bytu, jak duch i materia, z wielorakich postaci ich oddziaływania. Największą jednak trudność stanowi niemożność oglądu istoty człowieka. Poznajemy ją tylko w zewnętrznych formach, w jej empirycznych przejawach, dostępnych najpierw dla naszych zmysłów, w wypowiedzianych słowach, w mimice twarzy, oczu, w gestykulacji rąk, w postawie ciała ludzkiego, w czynnościach zewnętrznych, by przez te cielesne przejawy dojrzeć działanie duchowego ja ludzkiego. Przed tymi trudnościami stoi każdy, kto pragnie zrozumieć osobowość drugiego człowieka nieobecnego, a zwłaszcza nieżyjącego, choć ten dawniej był osobiście znany.

W tej sytuacji znalazłem się również i ja, gdy stanąłem wobec zadania przedstawienia osobowości zmarłego w 1976 r. Franciszka Jopa, biskupa diecezji opolskiej. Wybrałem literacką formę wspomnień, która nie daje może pełnego, wszechstronnego obrazu, pomija wiele momentów, które dokładniej uwydatniłyby pewne cechy jego osobowości (np. analiza jego spuścizny pisarskiej, jego listów pasterskich, jego korespondencji, omówienie jego wizytacji biskupich w diecezji). Wspomnienia dają najbardziej bezpośredni obraz życia człowieka, są swoistym portretem żywego człowieka, jakby wycinkiem z jego zmiennego, płynnego życia, z tymi akcesoriami, jakie wtedy występowały, a które jeszcze nie przeszły abstrakcyjnej przeróbki psychologicznej czy literackiej. Nie dają one jeszcze pełnego obrazu człowieka, są raczej surowym materiałem, który dostarczy cennych wskazówek, prowadzących do zrozumienia osobowości człowieka. Czuję się całkowicie uprawnionym do snucia i przedstawienia tych wspomnień, gdyż późniejszego Biskupa znałem we wczesnej młodości jako ucznia, bliżej z nim współpracowałem jako ksiądz i profesor seminarium, a w późniejszych latach, choć mieszkaliśmy i pracowaliśmy w różnych miastach, utrzymywaliśmy ze sobą żywe kontakty, odwiedzając się i korespondując ze sobą. Nie były to tylko związki towarzyskie, formalne, lecz oparte na wzajemnej życzliwości i sympatii.

2. Środowisko fizyczne

Trzy czynniki składają się na powstanie osobowości człowieka: środowisko fizyczne, a więc: miejsce urodzenia, klimat, gleba, sposób odżywiania, doliny, czy góry; środowisko społeczne, a więc: rodzice, rodzeństwo, wpływy kulturalne, szkoła, zawód społeczny; trzecim czynnikiem jest wrodzona, niepowtarzalna indywidualność duchowa człowieka, która wpływy zewnętrzne przyjmuje i na swój sposób przetwarza.

Miejsce urodzenia — wieś Słupia Stara, położona jest w odległości 4 km od Świętego Krzyża, a 2 od miasteczka Słupia Nowa. Odległość od Ostrowca, najbliższej stacji kolejowej, wynosiła 25 km, a od Sandomierza 50. Góry Świętokrzyskie — to teren najwyższy w środkowej Polsce, ciekawy swą przeszłością historyczną, a także swym układem geologicznym, teren najstarszego przemysłu odlewniczego żelaza z rudy, wydobywanego w tzw. dymarkach, których ślady znaleziono na polach Starej Słupii. Warto przypomnieć, że w odległości 40 km na południe znajduje się najstarsza kopalnia krzemienia (wieś Krzemionki), skąd go jeszcze w okresie przedhistorycznym wydobywano, przerabiano na miejscu i eksportowano do odległych krajów. W Górach Świętokrzyskich, na tzw. Łysej Górze powstał w XI w. jeden z najstarszych w Polsce klasztor Św. Krzyża, w którym osiedli Benedyktyni. Klasztor ten, szczytujący się posiadaniem relikwii Krzyża św., był do XV w. ośrodkiem pielgrzymek, jakim później stała się Jasna Góra. Rozciągały się tam rozległe bory, a u podnóża gór, zresztą niewysokich, na urodzajnej ziemi były położone wsie. Okoliczne wsie i miasteczka należały do klasztoru. Jedną z takich wsi klasztornych była Słupia Stara, gdzie mieszkali Jan i Rozalia z Karbowniczków Jopowie, którym w dniu 8 października 1897 roku urodził się syn. Na chrzcie nadano mu imię Franciszek.

3. Środowisko rodzinne

Rodzina Franciszka była od dawna tam zasiedziałą rodziną chłopską. Czy wywodziła się od sprowadzonych przez klasztor kolonistów niemieckich (nazwisko Jop jest zdrobniałym niemieckim imieniem Jakob), czy jest pochodzenia miejscowego, trudno ustalić. Na podstawie ksiąg kościelnych można było prześledzić jej osiedlenie w tamtych okolicach już w początkach XVIII w. (1724). Nazwisko to spotyka się również w innych okolicach Polski. Pradziadek dzierżawił ziemię od klasztoru. Ojciec, Jan, posiadał w Słupi 30 morgów urodzajnej ziemi (1,75 morgi = 1 ha), co go czyniło jak na tamtejsze warunki, gospodarzem zamożnym, zwłaszcza, że wieś leżała blisko większych ośrodków miejskich i fabrycznych, i miała dobre warunki zbytu produktów rolnych. Jan i Rozalia z Karbowniczków mieli 6 dzieci, 2 synów i cztery córki, z których dwie zmarły w młodości. Matka zmarła, gdy Franciszek miał zaledwie 3 lata. Po jej śmierci ojciec ożenił się z wdową, Zofią Samiec i ta wychowywała dzieci po pierwszej żonie. To drugie małżeństwo zostało bezdzietne. Rodzina była „długowieczna”, ojciec żył 81 lat († 1939), brat Antoni 84 († 1970), siostra Aniela żyła 71 lat († 1969), siostra Zofia 87 († 1976), a syn Franciszek, umarł w 79 roku życia. Franciszek najbardziej związany był ze starszym bratem Antonim, który jakby go wychowywał. Dojeżdżał często i załatwiał bieżące sprawy młodszego brata i prawie zastępował ojca, który był zajęty gospodarstwem. Ożenił się późno, bo dopiero w 45 roku życia (1931). Nie znam szczegółów dzieciństwa Franciszka, który później jako ksiądz, a jeszcze bardziej jako biskup nie był skłonny do tego rodzaju wspomnień. Przypuszczalnie upływało ono podobnie jak dzieciństwo innych dzieci ówczesnych zamożnych gospodarzy, których dzieci od wczesnych lat były zaprawiane do pracy w domu i w gospodarstwie.

4. Szkoła początkowa

Do szkoły początkowej uczęszczał w Słupii Nowej, odległej od domu rodzinnego 2 km. Szkoły tego typu w Kongresówce były trzyklasowe. Klasy nazywały się oddziałami z klasą wstępną, zwana zazwyczaj „osłami”. Językiem wykładowym był rosyjski. Przeszedłem taką szkołę w mojej rodzinnej wsi. Nauka wszystkich klas odbywała się w jednej sali. Polegała głównie na zadawaniu i odpytywaniu lekcji, przy czym starsi uczniowie przepytывali młodszych. Uczniowie nauczyli się czytać i sporo rozumieć po rosyjsku, trochę poznali rachunki. Należało też opanować imiona i nazwiska członków domu cesarskiego. Bariera trudną do pokonania dla polskich dzieci szkolnych był język nauczania — rosyjski. Nauki religii nie mieliśmy w szkole, a tylko na wiosnę dzieci chodziły do kościoła na naukę katechizmu. Szkoły stały nisko i było ich mało. Z reguły była tylko jedna na gminę, liczącą kilkanaście wsi na około 8—10 tysięcy mieszkańców. Do szkoły mogło uczęszczać tylko 10—15% dzieci, a z nich nieliczna grupa dotrwała do końca. Taką szkołę ukończył Franio Jop w Słupi Nowej, podobnie ukończyłem i ja w Rzecznowie (byłem od niego pół roku starszy).

5. Szkoła średnia

Była w Polsce Kongresowej (rosyjskiej) instytucją rzadką i trudno osiągalną. Szkół średnich było bardzo mało. W guberni radomskiej, do

której należeliśmy, liczącej około miliona mieszkańców, były dwa gimnazja państwowe męskie (w Radomiu i Sandomierzu), jedno gimnazjum żeńskie, dwa progimnazja czteroklasowe (Ostrowiec i Końskie) i jedno seminarium nauczycielskie w Solcu nad Wisłą. Od 1905 r. powstawały w miastach gubernialnych średnie polskie szkoły prywatne z językiem wykładowym polskim (tylko język rosyjski i historia były wykładane po rosyjsku), ale szkoły te, realne lub handlowe, były drogie i nie dawały praw na wyższe uczelnie. Dostanie się do gimnazjum państwowego było niełatwe, choćby dlatego, że było mało miejsc, a zgłoszeń dużo. Do pierwszej klasy gimnazjum w Sandomierzu (wtedy było 6 kl. progimnazjum, ale przetwarzane było w gimnazjum i co roku przybywała nowa starsza klasa) zgłaszało się ponad stu uczniów na 25 miejsc. Co prawda w klasie było 40 uczniów, ale w tym 15 uczniów przychodziło z tzw. klasy wstępnej gimnazjum, z której promocja do klasy pierwszej była automatyczna, bez wstępnego egzaminu. Wtedy właśnie poznałem Frania Jopa, który składał egzamin do klasy pierwszej. Egzamin wprawdzie zdał, ale z wynikiem słabszym i nie został przyjęty. Ja natomiast miałem większe szczęście, gdyż zostałem przyjęty, choć nie miałem żadnej protekcji, ani nie byłem wsparty przez łapówki (zwane „wziatki”), i może lepiej przygotowany przez nauczyciela szkoły rodzinnej. Mało pamiętam ówczesnego Frania. Jak przez mgłę przypominam sobie drobnego, szczupłego i nieśmiałego chłopca, z którym spotykałem się choć mieszkaliśmy każdy na innej stacji. Płakał, gdy nie znalazł się na liście przyjętych. Odtąd nasze drogi rozeszły się. Franio zrezygnował z egzaminów w Sandomierzu i przeniósł się do Warszawy i tam rozpoczął naukę w gimnazjum. Opowiadał, iż miał w Warszawie ciężkie warunki na stacji. Ja od wakacji 1908 r. zacząłem uczęszczać do gimnazjum w Sandomierzu. Wspomnę, że na 40 uczniów było w klasie 3 Rosjan i 3 Żydów, a reszta Polacy. Językiem wykładowym był rosyjski, tylko nauka religii (2 godz.) i języka polskiego (2 godz.) odbywały się po polsku. Zarówno profesorowie, jak i uczniowie byli umundurowani. Profesorowie (wszyscy Rosjanie) — nosili granatowe surduty z wypustkami na kołnierzach, stosownie do rangi, albo krótkie półsurduty z takimiż odznakami. Guziki były duże żółte, z orłem metalowym. Uczniowie nosili krótkie czarne, zapięte pod szyją mundurki, ze stojącym kołnierzem, przepasane czarnym skórzanym pasem, spiętym na przodzie białą blaszaną klamrą z inicjałami szkoły. Obowiązywał biały sztywny kołnierzyk. Ponadto nosiliśmy niebieską granatową czapkę z jasnymi obramowaniami ze sztywnym denkiem, jak czapki wojskowe, na przodzie znak szkoły — biała palma metalowa. W zimie obowiązywała „szynel” koloru granatowego, a na przednich klapach wypustki kroju żołnierskiego. W szkole wolno nam było ze sobą rozmawiać po polsku, co przed 1905 r. było karalne. Duch klasy był polski, nawet koledzy Rosjanie, nie mówiąc już o Żydach, rozmawiali z nami po polsku. Uczniowie mieszkali na stacjach w mieście, które wtedy kosztowały 130—150 rubli rocznie. Opłaty za czesne w szkołach rosyjskich były wysokie. Wnosiły najpierw 60, a później 80 rubli. Tylko dwóch — trzech biednych, ale zdolnych uczniów zwalniano z opłat. Nauka w gimnazjum zaczynała się o godz. 9.00 i trwała do 12.00, dwugodzinna przerwa obiadowa i znów lekcje od 14.00 — 16.00. Poziom nauk był wysoki. Nie mieliśmy wtedy żadnych wycieczek, ani kółek naukowych, a za przynależ-

ność do jakichkolwiek organizacji oświatowych, czy sportowych pozaszkolnych groziło usunięcie ze szkoły. Kontakty uczniów z nauczycielami, którymi byli wyłącznie Rosjanie, poza księdzem prefektem i nauczycielem języka polskiego, były wykluczone. Tak upływały moje lata szkolne w Sandomierzu, i w podobnych warunkach przebywał w Warszawie Franio Jop.

6, W Seminarium Duchownym

Po 10 latach rozłąki znowu spotkaliśmy się w Sandomierzu na jesieni roku 1918. Fr. Jop był wtedy zaawansowanym w studiach klerykiem, a ja, wróciwszy z Rosji, mając za sobą ukończony I rok Akademii Duchownej w Petersburgu, przebywałem przez parę dni w Seminarium Duchownym w oczekiwaniu na paszport okupacyjny władz austriackich do Innsbrucka, dokąd zostałem skierowany na dalsze studia specjalistyczne na tamtejszy uniwersytet. Odnowiliśmy wtedy dawną znajomość, nawiązaliśmy ze sobą kontakt koleżeński i postanowiliśmy go podtrzymywać. Franciszek w 1919 roku został wysłany do Rzymu na Uniwersytet Gregoriański na studium prawa kanonicznego jako kleryk. Świecenia kapłańskie otrzymał dopiero 20 VIII 1920 r. Korespondowaliśmy ze sobą. On z Rzymu, ja z Innsbrucka. Pamiętam, że kupił mi tam ładnie oprawiony Kodeks Prawa Kanonicznego, który dopiero się ukazał i przesłał do Innsbrucka. Bliższe i długotrwałe węzły przyjaźni zadzierzgnęliśmy, gdy wróciliśmy do Sandomierza. W roku 1921 objąłem w Seminarium Duchownym wykłady filozofii, a w Małym Seminarium naukę języka niemieckiego. Franciszek w roku następnym, to jest 1922, po uzyskaniu doktoratu objął katedrę prawa kanonicznego, a w Kurii Diecezjalnej został mianowany notariuszem.

Seminarium Duchowne w Sandomierzu było piękną okazałą budowlą w stylu barokowym, która ongiś służyła za klasztor Sióstr Benedyktynek. Dwa pawilony, południowy i wschodni, były zbudowane na początku XVII w., a trzeci, północny odbudowano w roku 1906, gdy rząd rosyjski, skasowawszy klasztor na początku XIX w., oddał go diecezji na seminarium duchowne, uzyskując w zamian budynek dawnego seminarium i umieścił tam urząd powiatowy. Klasztor był budynkiem jednopiętrowym, który na parterze miał urządzenia gospodarcze, salki dla dziewcząt, jakie tam pobierały naukę, pokoje gościnne, a na piętrze cele dla sióstr, rozmieszczone wokół bardzo szerokiego korytarza, wysokiego na kilkanaście metrów i uwieńczonego stylowym dachem, pokrytym czerwoną dachówką. Te szerokie, wysokie korytarze, nieopalone, były dawniej celowe, gdyż siostry zakonne nie opuszczały murów klasztoru, ale później stały się anachronizmem, były nieekonomiczne. Można się tylko dziwić, że w roku 1906 dobudowując nowy pawilon, uczyniono go kopią dawnych pawilonów sprzed trzech wieków, a tylko mieszkania tam urządzone uczyniono szersze i wyższe, niż dawniejsze. Wzdłuż korytarzy były umieszczone pokoje mieszkalne dla kleryków, sale wykładowe były na parterze (tylko jedna największa na piętrze). W gmachu Seminarium mieli swe mieszkania: rektor, wicerektor, prefekt i ojciec duchowny. Inni profesorowie mieszkali na mieście, przy katedrze i innych kościołach. Z Seminarium łączył się dawny kościół Sióstr Benedyktynek pod wezwaniem św. Michała. Później stał się kościołem seminaryjnym.

Ks. Franciszek zamieszkał w domu rektorskim przy kościele św. Józefa, oddalonym od seminarium ok. 150 metrów. Otrzymał tam dwa niewielkie pokoje i wspólny przedpokój z rektorem kościoła ks. prof. H. Czernikiem. Msze św. odprawiał w kościele św. Józefa, gdzie pomagał w głoszeniu kazań i słuchaniu spowiedzi. Stołował się, jak wszyscy profesorowie, w seminarium, do którego dochodziło się w ciągu 5 minut. Mieszkanie miał przyjemne, położone w ogrodzie, zdrowe, blisko parku miejskiego. Uposażenie mieliśmy skromne. Pamiętam, że w 1921 r. (we wrześniu przyszedłem na profesora), otrzymałem z góry za trzy miesiące 8.000 polskich marek, a za buty z cholewami, jakie musiałem nabyć na spacer z klerykami — do czego jako ich prefekt byłem obowiązany — zapłaciłem od razu 6.000 mk. Później nawet nam tego nie wypłacano. Żyliśmy ubogo. Mieliśmy jednak zapewnione mieszkanie i stołowanie. Z trudem starczyło na ubranie i codzienne wydatki. Dopiero w 1923 r. profesorowie otrzymali skromne dotacje ze skarbu państwa, a po 1925 r., to jest od zawarcia konkordatu mieli już uposażenie dobre, przeciętnie około 250 zł miesięcznie, a ponadto mieszkanie i stołowanie. Wcześniej trudno było myśleć o jakichś większych, nawet potrzebnych zakupach, o umeblowaniu. Pamiętam, że w 1923 r. ks. Franciszek otrzymał pełne umeblowanie od rodziny, gdy brat Antoni przywiózł nowe biurko, bibliotekę, stoliki, szafy, krzesła i one wypełniły mieszkanie dotąd puste. Meble były utrzymane w modnym wtedy żółtym kolorze. Nie były luksusowe, ale służyły gospodarzowi przez długie lata i powędrowały z nim do Opola, tam zdobiły uczuciowo pokój sypialny i gabinet, a po jego śmierci znalazły się znowu w posiadaniu dzieci brata Antoniego, który je przed półwiekiem zamawiał i do Sandomierza przywiózł.

7. Środowisko sandomierskie

Rzeczy i ludzie, którzy nas otaczają przez dłuższy okres, stanowią nie tylko ramy, w jakich się obracamy, nie tylko pomoc z jakiej korzystamy, czy przeszkodę, z jaką musimy się uporać. Ich rola jest bardzo wszechstronna, a wpływ o wiele głębszy niż się pozornie może wydawać. Są one materiałem, z jakiego tworzy się nasza osobowość, stanowią jakby część naszego ja. One działają w postaci obrazów psychicznych, które wdrażają się w naszą świadomość, w naszą psychikę, stają się jej treścią, poznawczą i pożywką uczuciową, wytyczają w niej pewne tory działania, stają się modelem, a czasem nawet ideałem życiowym.

a) Ludzie sandomierscy — to przede wszystkim grono profesorskie, w jakie weszliśmy, i liczni klerycy, których mieliśmy nauczać i wychowywać. Grono profesorskie było młode: rektor liczył 41 lat, wicerektor 33, w tym samym wieku byli także pozostali profesorowie. Najmłodszymi byliśmy my dwaj z ks. Franciszkiem, bo liczyliśmy po 25 lat. Grono profesorskie składało się początkowo z 11 osób. Na obiad przychodził jeszcze z Kurii ks. prałat Grajewski w wieku około 70 lat, który nam młodym wydawał się starcem. Ówczesni profesorowie mieli wyższe specjalistyczne wykształcenie. Ks. rektor A. Szymański miał ukończoną Akademię Duch. w Petersburgu i Instytut Filozof. w Lowanium (dr fil. i teol.), był szanowany i ceniony jako profesor i wychowawca. Ks. A. Wyrzykowski, historyk jest twórcą teorii o bizantyjskim pochodzeniu hymnu Bogarodzicy, choć później inny autor przywłaszczył sobie zasługę autorstwa. Ks.

W. Kosiński, homileta i katecheta, był autorem kilku pożytecznych podręczników z tej dziedziny. Ks. E. Górski był autorem dzieła „Jezus Chrystus”, ale później ograniczył się do pracy wychowawczej i kurialnej. Ks. Swietlicki był propagatorem śpiewu gregoriańskiego, a ks. H. Czernik, absolwent uniwersytetu we Fryburgu, był dobrym dogmatykiem i doskonałym wychowawcą dzięki swej nieprzeciętnej indywidualności. Można powiedzieć, że był to zespół zgrany pod względem towarzyskim, zespolony wzajemną życzliwością swych członków, o dużych walorach kapłańskich.) Tworzyliśmy prawdziwą rodzinę, której członkowie czuli się bliscy sobie, choć charaktery były różne i upodobania naukowe niejednakowe pod względem ukierunkowania i nasilenia. Może do tej atmosfery przyczynił się w pewnym stopniu... okrągły stół, przy którym gromadziliśmy się w jadalni profesorskiej. To przebywanie obok siebie i spoglądanie twarzą w twarz, gdzie wszystkie miejsca były pierwsze, ułatwiało a nawet zmuszało do rozmowy. Tam nie można było uprawiać absencji towarzyskiej, ani preferować tylko pewnych kolegów z pominięciem innych. Trzeba było brać udział we wspólnym życiu. My młodzi czuliśmy się dobrze przy okrągłym stole, a wprost znakomicie dostrajał się do niego kolega, ks. Franciszek, który miał duże walory towarzyskie: był rozmowny, dowcipny a przy tym delikatny. Nasze życie towarzyskie, poza okrągłym stołem, znajdowało swe ujście w zebraniach koleżeńskich z racji imienin, uroczystości kościelnych czy zakładowych, urządzanych przez kleryków. Nie mieliśmy jednak zebrań naukowych, czy dyskusyjnych, poza obchodami „urzędowymi” jak św. Tomasza z Akwinu, bł. Wincentego Kadłubka. W naszych późniejszych rozmowach, gdyśmy się spotykali, odwiedzali, wspominaliśmy z rozrzewnieniem i tęsknotą te pierwsze lata profesury w Sandomierzu. Były wolne od walk, rywalizacji, intryg, nie było tam koterii, klik, grup, zawiści. Seminarium Sandomierskie miało już za sobą sto lat istnienia, miało swoje tradycje, a przedtem przez dwieście lat od XVII w. za archidiaconatu sandomierskiego działało w Sandomierzu seminarium prowadzone przez Ojców Jezuitów. Inne spotykałem później środowiska duchowne, profesorskie, które znacznie się odchyłały od tego modelu!

Święta i wakacje spędzaliśmy najczęściej w domach naszych rodziców, albo odwiedzaliśmy kolegów w diecezji. Nie potrzebowaliśmy jeszcze wyjazdów na kuracje lecznicze, a na dalsze podróże turystyczne w pierwszych latach nie było nas stać. W lecie 1923 r. wybrałem się na Święty Krzyż i po drodze odwiedziłem kolegę, ks. Franciszka w Słupie Starej w jego domu rodzinnym. Przyjmował mnie u siebie gościnnie, towarzyszył mi na Święty Krzyż i oprowadził po kościele. Obok kościoła były jeszcze nieuprzątnięte zwaly kamieni z wysadzonej przez wojska austriackie w 1915 r. wspaniałej starej wieży klasztornej, która już później została odbudowana. W murach dawnego klasztoru mieściło się wówczas ciężkie więzienie.

b) Nie tylko środowisko ludzkie kształtuje osobowość człowieka, ale i środowisko fizyczne: dom, w jakim mieszkamy, miasto czy wieś, w jakim przebywamy, krajobraz, na jaki patrzymy, nasza codzienna przestrzeń wzrokowa i słuchowa, środki wyżywienia itd. Miasto Sandomierz był środowiskiem ciekawym. W średniowieczu udzielne księstwo, potem województwo, od czasów szwedzkich po zniszczeniach wojennych mocno

podupadło, a po rozbiorach znalazło się na wschodniej granicy zaboru rosyjskiego, pozbawione zaplecza przemysłowego i kulturalnego. Do najbliższej stacji kolejowej (Ostrowiec) było 50 km. W Polsce odrodzonej znalazło się w lepszej sytuacji, bo uzyskało połączenie kolejowe (stacja za Wisłą, odległą o ponad 2 km). Miasteczko liczyło wówczas około 10.000 mieszkańców, w tym połowę z nich stanowili Żydzi; miasteczko brudne, zaniedbane, ubogie, bez przemysłu, ulice wybrukowane tzw. kociełbami, bez kanalizacji (do 1930) i do roku 1923 bez oświetlenia elektrycznego. W latach dwudziestych miało dwie szkoły średnie, wyższe seminarium duchowne i wyjątkowo bogatą przeszłość historyczną, udokumentowaną licznymi, wysokiej klasy budowlami i dziełami sztuki. Nie było teatru, a stare małomiasteczkowe kino mieściło się w walącej się remizie strażackiej. Miasto tego typu nazywane „śpiącą królewną” nie dostarczało silniejszych podnieć kulturalnych, poza historią i archeologią. Mimo tych mankamentów kulturalnych, Sandomierz miał swój szczególny urok i dał się kochać. Posiadał swoisty genius loci, na który składała się bogata przeszłość dziejowa, sięgająca V w. przed Chr., wyjątkowe walory krajobrazu, jego położenie na górze, a właściwie na kilku wzniesieniach, poprzecinanych wąwozami, a na dole Wisłą, zataczającą w swym biegu łuk w kształcie litery „S”. W XIII w. księżna Grzymisława obrała sobie Sandomierz na rezydencję „propter iucunditatem loci et serenitatem aeris”. W Sandomierzu chodziło się zawsze „z góry na dół i pod górę”, jak się mówiło, a mimo to było miastem przyjemnym i zdrowym. Odległości były niewielkie. Od jednej rogatki miejskiej do drugiej można było przejść pieszo w ciągu 20 minut. Dopiero w latach dwudziestych zaczęły powstawać nowe dzielnice mieszkalne, a po przeciwnej stronie Wisły zaczął tworzyć się przemysł (huta szkła, stocznia rzeczna). Ks. Franciszek mieszkał początkowo przy kościele św. Józefa. Potem jako kanclerz Kurii mieszkał w budynku kurialnym, gdzie zajmował dwa małe pokoiki, skąd do seminarium duchownego miał 15 minut drogi, a do katedry, gdzie odprawiał — 5 minut. Mieszkania, zwłaszcza w starych budynkach kościelnych, były niewygodne, pozbawione nowoczesnych urządzeń sanitarnych. Drogę ze swego mieszkania przy Kurii do seminarium duchownego odbywał ks. Franciszek trzy razy dziennie, a nieraz i częściej z jednego końca miasta na drugi. W dni targowe przejście przez rynek i sąsiednie uliczki było uciążliwe, bo wypełnione furmankami były miejscem handlu drobiem i produktami spożywczymi. Dopiero w latach trzydziestych targowisko przeniesiono poza miasto. Rynek i przyległe ulice były zamieszkałe głównie przez ludność żydowską, zawsze ciekawą, w szczególny sposób interesującą się przechodzącymi księżmi. Seminarium duchowne miało około 100 kleryków. Jego poziom naukowy był wysoki. Profesorowie mieli wymagane dyplomy naukowe, ukończone wyższe uczelnie, a kandydaci na kleryków musieli się wykazać posiadaniem matury gimnazjalnej (od 1924 r.). Diecezja sandomierska liczyła w latach dwudziestych około miliona katolików. Biskupem ordynariuszem był od 1910 r. ks. Marian Ryx, a biskupem sufraganiem ks. Paweł Kubicki (od 1918 roku).

8. Kanclerz Kurii

Po trzech latach pełnienia obowiązków notariusza Kurii, Ks. Franciszek został mianowany jej kanclerzem w 1925 r. Dotychczasowy kan-

clerz, ks. A. Glibowski, postanowił wrócić do duszpasterstwa parafialnego, a jego obowiązki objął ks. profesor Jop. Pełnił je do swej nominacji na biskupa sufragana, to jest do 1946 r., właściwie dłużej, bo jeszcze jako biskup sufragan, choć formalnie wykonywał je dawny wicekanclerz.

Warto nawiasem zaznaczyć, że w dawnym zaborze rosyjskim stanowiska profesorskie i kurialne obejmowali ludzie młodzi i po kilku latach przechodzili na większe parafie lub jako kanonicy fungowali przy katedrze. Uposażenie mieli szczupłe, nie byli dotowani przez państwo, nie było emerytur. Tylko parafia zapewniała im dostateczne środki utrzymania i dlatego często były wypadki, że starsi profesorowie, a zwłaszcza kanonicy byli nominalnie proboszczami parafii, obowiązki duszpasterskie wykonywali za nich wikariusze, a oni sami pozostawali w Sandomierzu.

Ks. Franciszek miał lat 28, gdy został kanclerzem Kurii i na tym stanowisku pozostał przez 21 lat. Ta rzadko spotykana wieloletniość stażu kanclerskiego, połączonego z profesurą, tłumaczy się uznawaną ogólnie odpowiedniością ks. Franciszka na to stanowisko, ale także jego zamiłowaniem w tego rodzaju urzędowaniu. Jednocześnie prowadził wykłady prawa kanonicznego dla kleryków trzech najstarszych lat. Wykładał po łacinie, ze znajomością rzeczy, był dobrym prawnikiem fachowcem, ale poza wykłady nie wychodził, nie pracował w tej dziedzinie naukowo, nie wydał prac większych, ani nawet artykułów naukowych. Właściwą ulubioną jego dziedziną działalności było kanclerstwo, w nie wkładał swój czas, swe zdolności, swoją pasję. Rozpoczął je w Sandomierzu od gruntownego wyremontowania i przemeblowania biura, które wtedy dość archaicznie wyglądało. Nowy kanclerz dał nową podłogę, zakupił nowe szafy, krzesła, kazał wymalować lokal i uczynił go bardziej nowoczesnym i funkcjonalnym. W pewnym znaczeniu był postępowy: nauczył się szybko pisać na maszynie, miał najnowsze wieczne pióro, co wtedy było rzadkością, rozbudował połączenia telefoniczne. Był punktualny, wytrwały i pracowity. Miał tylko dwie siły pomocnicze i wiele spraw sam załatwiał. W trzy lata po objęciu obowiązków kanclerza przybyło mu jeszcze redagowanie „Kroniki Diecezji Sandomierskiej”, miesięcznego organu urzędowego diecezji. Czynił to z dużym powodzeniem: dał nowy papier bezdrzewny, podniósł stronę graficzną, wprowadził zmiany w układzie karty tytułowej i miesięcznik postawił na wyższym poziomie. Kronika stała się jednym z najlepiej redagowanych pism tego typu w kraju.

Jako kanclerz Kurii, ks. Franciszek posiadał dwie cenne zalety: był taktowny i dyskretny. Załatwienie wielorakich spraw administracyjnych, ciągłe kontakty z księżmi, wysłuchiwanie różnych życzeń i pretensji wymagało dużego opanowania i taktu, zwłaszcza, że kanclerz był z natury nerwowy i skłonny do szybkiej reakcji, a sytuacje były nieraz takie, że nawet opanowanego, spokojnego człowieka mogły wyprowadzić z równowagi. Sprawy kurialne były dla niego swego rodzaju tabu: nie poruszał ich w rozmowie towarzyskiej, nie omawiał ich przy stole w gronie profesorskim. Nie pytaliśmy o nie, wiedząc, że tego rodzaju poboczne pytania wprowadziłyby go w zakłopotanie. Sztuka zachowania tajemnicy spraw kurialnych, umiejętność wychodzenia bez zgrzytów z różnych sytuacji, nie przekraczanie roli referenta i nie przywłaszczanie sobie większych kompetencji sprawiły, że ks. Jop był kanclerzem przez długie

lata przy czterech rządcach diecezji sandomierskiej: bpie Marianie Ryxie († 1930), bpie Włodzimierzu Jasińskim (1930—34), adm. apost. ks. Antonim Kasprzyckim (1935—36) i ostatnio przy ks. bpie Janie K. Lorku, z którym następnie współpracował jako jego biskup sufragan (1946—1952). Znane zalecenie św. Grzegorza Wielkiego: „omnia videre, multa dissimulare, pauca corrigere” — były tu w praktyce codziennej stosowane i dlatego z trudnych sytuacji życiowych ks. kanclerz wychodził obronną ręką.

Z drugiej strony Kuria Diecezjalna była doskonałym punktem obserwacyjnym życia kościelnego w diecezji, a nawet w Polsce, gdyż dawała głębszy wgląd w sprawy bieżące; była też doskonałą szkołą życia, uczyła trudnej sztuki właściwego załatwiania spraw kościelnych. Wieloletnia praca ks. Franciszka w roli kanclerza dała mu wszechstronną znajomość ludzi i spraw w diecezji, duże wyrobienie administracyjne i pozwoliła ubocznie wpływać na tok spraw diecezjalnych.

Przyszła wojna 1939 r., która na cały kraj i naród sprowadziła tyle nieszczęść. Miasto Sandomierz i okolice nie były terenem bitew i nie doznały większych zniszczeń. Jak wszędzie, tak i w Sandomierzu były liczne aresztowania, wywożenia do obozów koncentracyjnych, terror, zabójstwa, wymordowanie Żydów po uprzednim ich wywiezieniu z miasta i okolicy, ale samo miasto ocalało i w sierpniu 1944 r. było wolne od okupacji niemieckiej. Przez cały czas wojny działała administracja kościelna. Biskup Jan Lorek mógł wizytować diecezję, czynne było seminarium duchowne, które mogło nawet przyjąć licznych kleryków z innych seminariów i doprowadzić ich do święceń kapłańskich.

Inaczej potoczyły się wypadki w Lublinie, gdzie aresztowano obu księży biskupów (bp M. Fulman, bp W. Goral), profesorów KUL, jakich zastano w Lublinie, większość członków kapituły i profesorów seminarium duchownego. Zagrożony tam aresztowaniem, bo poszukiwany przez Gestapo, wyjechałem ukradkiem z Lublina do swej macierzystej diecezji i zamieszkałem najpierw u swych rodziców w Rzecznówku, a stamtąd po miesiącu wybrałem się do Sandomierza z prośbą o zatrudnienie w diecezji wobec niemożności powrotu do Lublina i zamknięcia Uniwersytetu. Zostałem mianowany kapelanem Sióstr Miłosierdzia w Lipowej koło Opatowa i tam szczęśliwie przetrwałem cały czas wojny.

Ks. Jopa zastałem w Sandomierzu w dobrej formie. Był już wtedy kanonikiem honorowym kapituły katedralnej, zmienił mieszkanie, z dawnego lokalu przy Kurii przeniósł się na tzw. Wikariat (Dom Kapitułny) i tam zajął dwa pokoje, w tym jeden słoneczny z oknami wychodzącymi na Wisłę. Nadal wykładał prawo kanoniczne w seminarium i tam się stołował. Przez cały czas utrzymywałem z nim żywy kontakt i przez niego miałem wiadomości o Lublinie.

W kwietniu 1942 r. Sandomierz przeżył grozę aresztowań księży, oskarżonych o czytanie podziemnej prasy i antyniemiecką propagandę. Aresztowano profesorów seminarium duchownego, których po paru dniach zwolniono. Poszukiwano szczególnie ks. prof. J. Stępnia (dzisiejszego rektora ATK w Warszawie) i ks. prof. J. Jarzynę, którzy się jednak uratowali. Zaaresztowano wtedy ks. oficjała A. Tworka, mojego kolegę z czasów szkolnych i ks. prałata Rewerę, proboszcza parafii w

Sandomierzu, bardzo szanowanego i zasłużonego. Obaj zginęli w Oświęcimiu. Pracownicy Kurii nie byli wtedy objęci aresztowaniami. Do Sandomierza odważyłem się wyjechać z Lipowej w październiku 1943 (po śmierci mojej śp. Matki). Żyliśmy wtedy nadzieją szybkiego zakończenia wojny, choć trwała jeszcze dwa lata. Rok 1944 przyniósł duże zmiany. Wojska radzieckie, a z nimi i nowo utworzone oddziały polskie dotarły do Wisły i w sierpniu bez bitwy zajęły Sandomierz. Front ustalił się na pół roku w odległości 15—20 km na zachód od Sandomierza, a o 8 km od Lipowej, gdzie mieszkałem w domu Sióstr Miłosierdzia jako kapelan. Tam omal nie zostałem w grudniu aresztowany, a następnie zmuszony do wyjazdu, do domu rodzinnego. Dopiero w kwietniu 1945 r. mogłem wrócić do Lublina i rozpocząć wykłady. Rozpoczęła się nowa karta mojego życia.

9. Biskup — sufragan sandomierski

Gdy ustały działania wojenne i życie społeczne zaczęło wracać do normy, podjęto sprawę uregulowania spraw kościelnych. W sierpniu 1945 r. ks. Prymas A. Hlond, który dopiero co w lipcu wrócił z zagranicy do kraju, ustanowił z upoważnienia Stolicy Apostolskiej na nowo odzyskanych ziemiach polskich pięć administratur apostolskich: we Wrocławiu, w Opolu, w Gorzowie, w Gdańsku i w Olsztynie. Jednocześnie podjęto starania o nominacje dla wakujących stolic biskupich i sufraganii na terenach dawnych ziem polskich. Wśród nich znalazła się również diecezja sandomierska, gdzie wciąż jeszcze ordynariusz diecezji od dziesięciu lat fungował w charakterze administratora apostolskiego, a sufragania wakowała od śmierci bpa Pawła Kubickiego, czyli od stycznia 1944 r. Sprawy te zostały załatwione w Rzymie pod koniec 1945 r., a dekrety nominacyjne zostały ogłoszone w pierwszych miesiącach 1946 r. Biskup Jan Lorek został podniesiony do godności biskupa ordynariusza diecezji sandomierskiej, a jego sufraganem został mianowany ks. Franciszek Jop, dotychczasowy kanclerz i profesor seminarium. Nominacja ks. Jopa (24 X 1945) była przewidywana i oczekiwana. Od 20 lat (od 1925 r.) był kanclerzem Kurii Diecezjalnej, znał dobrze duchowieństwo i potrzeby diecezji, miał wyrobienie administracyjne i duże wolory osobiste: inteligencję i doświadczenie. Był wzorowym kapłanem i cieszył się zaufaniem swego ordynariusza.

Konsekracja nowego sufragana odbyła się 19 maja 1946 r. w katedrze sandomierskiej. Konsekratorem był ks. bp J. Lorek. Jako biskup sufragan i wikariusz generalny diecezji pozostał bp Jop w Sandomierzu do 1952 r. Faktycznie był nadal kanclerzem Kurii, a dawny notariusz został mianowany wicekanclerzem (ks. J Kaczmarek). Nadal też pozostał profesorem prawa kanonicznego w seminarium duchownym, dopóki po paru latach nie zastąpił go na tym stanowisku ks. dr Walenty Wójcik, późniejszy sufragan diecezji sandomierskiej (od 1961 r.). Utrzymywaliśmy ze sobą nadal żywy kontakt osobisty. Co roku bywał bp Fr. Jop w Lublinie jako członek Komisji Episkopatu do spraw KUL. Zatrzymywał się wtedy i mieszkał u mnie.

Bezpośrednio, pierwsze lata powojenne były trudne ze względu na szczególnie klimat, jaki panował w życiu społecznym Polski. W paździer-

niku 1952 r. znalazłem się znowu w Sandomierzu i przemieszkałem prawie 5 lat. Odeszło wtedy z KUL-u ośmiu profesorów, a w tej liczbie również ja. Wróciłem więc do Sandomierza jako kanonik generalny tamtejszej kapituły (od 1951 r.) i dawny profesor seminarium duchownego. Biskup ordynariusz mianował mnie profesorem filozofii w seminarium duchownym sandomierskim, a mieszkanie wyznaczył mi na wikariacie. Ponieważ tam nie było na razie wolnego pokoju, zaprosił mnie na mieszkanie do siebie ks. bp Jop, dopóki nie zostanie mi przydzielone wolne mieszkanie. Wydzielił mi ze swego mieszkania najlepszy, słoneczny pokój i tam mieszkałem przez dwa tygodnie. Zaofiarował mi również śniadania i kolacje (obiady jadałem w seminarium). Rok ten był dla mnie wyjątkowo ciężki: zostałem pozbawiony prawa wykładania w KUL po 18 latach profesury w czerwcu, a w sierpniu umarł mi nagle mój ukochany brat, Antoni Pastuszka, prof. procedury cywilnej na KUL od 1933 r., człowiek szczególnie mi bliski o wyjątkowej szlachetności i dobroci. Zmarł na zawał serca w 52 roku życia. Gościnnie Gospodarz okazał mi wtedy dużo serca i łagodził moje kłopoty i mój ból. Przeniosłem się później do nowego mieszkania, jakie otrzymałem: jeden pokój w sąsiedztwie bpa sufragana. Miłe sąsiedztwo i częste wzajemne odwiedzania trwały jednak tylko dwa miesiące.

10. Poza Sandomierzem

W połowie grudnia 1952 r. zostałem nieoczekiwanie wezwany na posiedzenie kapituły katedralnej i tam biskup ordynariusz zakomunikował zebrany, że jego sufragan został obrany wikariuszem kapitulnym archidiecezji krakowskiej i że 13 XII 1952 r. ks. Prymas wyraził życzenie, aby w najbliższych dniach objął urząd. Tak się też stało. Wkrótce potem bp Jop wyjechał do Krakowa, wzięwszy ze sobą tylko rzeczy potrzebne na krótki czas. Nowe stanowisko uważał za prowizorium i dlatego nie zlikwidował mieszkania sandomierskiego, pozostawił w nim swoje rzeczy, zachował również godność prałata i dziekana kapituły sandomierskiej. Nie przeczuwał, że do Sandomierza już nigdy nie wróci jako biskup urzędujący, a tylko jako gość.

O działalności biskupa Jopa w Krakowie trudno mi pisać. Dochodziły tylko dobre relacje do Sandomierza, że nowy wikariusz kapitulny dobrze sobie radzi i jest ceniony przez tamtejsze duchowieństwo.

Październik 1956 r. wprowadził dużo zmian i naprawił wiele dawniej wyrządzonych krzywd. Na stolicę biskupią w Krakowie wrócił usunięty arcybiskup E. Baziak, a dotychczasowy wikariusz kapitulny, bp Fr. Jop został mianowany biskupem dla Śląska Opolskiego (24 IV 1951, a objął rządy 16 XII 1956 r.). Oczekiwał raczej powrotu do Sandomierza i nową nominację przyjął tylko w duchu posłuszeństwa dla Stolicy Apostolskiej. Przebył w Opolu 20 lat i doczekał się przemianowania administratury apostolskiej w diecezję opolską, której został pierwszym rezydencjalnym biskupem ordynariuszem (26 VI 1972). Odwiedziłem go po raz pierwszy w Opolu w latach sześćdziesiątych, a później bywałem prawie co roku, co mi przychodziło tym łatwiej, że dojeżdżałem na kurację do Szczawna Zdroju. Byłem zawsze gościnnie przyjmowany i często w drodze powrot-

nej dawał mi swe auto i zwykle w towarzystwie jednego z księży notariuszy Kurii Opolskiej (zazwyczaj ks. mgr Fr. Piechoty) dojeżdżałem do Częstochowy, by się zatrzymać na Jasnej Górze. Ostatni raz odwiedziłem go w maju przed jego śmiercią, która nastąpiła 24 września 1976 r.

11. Próba charakterystyki ogólnej

Każdy człowiek jest bytem jedynym i неповtarzalnym. Posiada wprawdzie taką samą budowę organiczną i strukturę psychiczną jak inni ludzie, jednakowe zmysły zewnętrzne i wewnętrzne, jak pamięć i wyobraźnię, jest istotą rozumną i wolną, te same prawa uczucia nim rządzą, a przecież wszystko to posiada swoisty, indywidualny układ, swoiste nasilenie i powiązanie czynności. Każdy człowiek ma inne miejsce życiowe, inne warunki go kształtują i w rezultacie jest człowiekiem zindywidualizowanym. Każda próba jego poznania jest w pewnym znaczeniu aproksymatywna, tylko w przybliżeniu odpowiadająca rzeczywistości. Takim jest nawet samopoznanie, a jeszcze bardziej poznanie drugiego człowieka, nawet nam bardzo bliskiego, gdyż wtedy, nie mając bezpośredniego wglądu w ja ludzkie, operujemy porównaniami, analogiami z własnym ja, a to jest zawsze inne, przynajmniej w pewnym stopniu. Świadom jestem tych trudności, podejmując próbę charakterystyki biskupa Fr. Jopa. Znałem go dobrze, gdyż przez pewien dłuższy okres czasu przebywaliśmy razem w Sandomierzu, spotykaliśmy się codziennie, razem stołowaliśmy się, żyliśmy wspólnym życiem seminaryjnym i byliśmy związani wzajemną sympatią. Byliśmy wtedy młodzi, dobiegaliśmy obaj trzydziestki, ale już wtedy zarysowywały się różnice psychiczne: on czuł się dobrze w roli kanclerza, a ja poza zajęciami dydaktycznymi, parałem się pisaniami artykułów naukowych, przygotowywałem pracę habilitacyjną, a po habilitacji przenieśliśmy się do Warszawy i objąłem wykłady na Wydziale Teologicznym U. W.

Po ośmioletnim wspólnym pobycie w Sandomierzu (1922—30) nasze drogi i zainteresowania rozeszły się. Ale pozostała ta sama wzajemna życzliwość, odwiedzanie się i częsta korespondencja. Szkicując tu jego portret charakterystyczny, operuję przede wszystkim materiałem ze wspomnień młodości, a przecież inaczej na te same rzeczy patrzy człowiek trzydziestoletni, a inaczej, gdy ma lat siedemdziesiąt, choć te młodzieńcze wspomnienia były wciąż korygowane podczas późniejszych spotkań i rozmów.

Ks. Franciszek był wzrostu średniego (169 cm), szczupły, o regularnej budowie ciała, o kształtach właściwych astenikom i schizotypikom. Antropolog zaliczyłby go do długogłowych: twarz zwężona ku dołowi, rysy twarzy ostre, choć przyjemne, czoło wysokie, włosy ciemnoblond rzadkie, dość wczesnie siwiejące, oczy niebiesko szare, spokojne, często uśmiechnięte, ale był to uśmiech specyficzny, chyba najlepiej dający się określić słowem rosyjskim „ułybka”, który można było brać za wyraz postawy krytycznej, choć w rzeczywistości było to spojrzenie życzliwe, a zarazem mówiące o zrozumieniu, a może i wyrozumiałości dla tej sytuacji. Poza tym często przymruzał lewe oko, co było chyba „tikiem” ruchowym. Co uderzało w twarzy, to nos o wymiarach większych, niż przeciętnie, bo

dłuższy, jakby lepiej rozbudowany. Nie raził swym układem, nie ujawniał jakichś dysproporcji, a przecież stanowił charakterystyczny akcent twarzy. Cera twarzy i ciała ks. Franciszka była ciemniejsza, niż to ma miejsce u blondynów, była nieco zaróżowiona, a w późniejszych latach życia — blada i bezbarwna, nieco śniada. Chód regularny, nieco pochyłony. Czy to pochodziło z układu nieco wklęsniętych ramion, czy z tak zbudowanego kręgosłupa, a może z trybu życia, z ciągłego pisania piórem i na maszynie — trudno powiedzieć. W starszych latach to pochylenie było znaczne. Chód stawał się „chyłowaty”. Głos miał matowy, słaby, ale przyjemny. Nie był wybitnym mówcą, ani kaznodzieją, ani wykładowcą, ale rozporządzał głosem, wystarczającym do opanowania sali czy ambony. Z natury był towarzyski i rozmowny. Przy stole, w jadalni, na zebraniach towarzyskich, podczas wzajemnych odwiedzin nie trzeba było go zachęcać do rozmowy. Rozmowy koleżeńskie ciągnęły się nieraz długo. Zawsze jednak zachowywał umiar w wyborze tematyki, w sposobie omawiania spraw, w tonie wypowiedzi. Był człowiekiem zdrowym, odpornym na zmęczenie, wytrzymałym w pracy, której nigdy mu nie brakowało. Zdrowie i długowieczność były dziedziczne w rodzinie Jopów, co jest także zasługą wyjątkowo zdrowego klimatu świętokrzyskiego. Nie przechodził dłuższych chorób, poza drobnymi przeziębieniami, na które zresztą był odporny. Trudy związane z wizytacjami pasterskimi, częste wyjazdy na konferencje, na różne uroczystości diecezjalne znosił bez większych trudności. Był często „w drodze”, choć z natury raczej domatorem, a dopóki przebywał w Sandomierzu, był nawet „zasiedziały”. Nie lubił podróżować, nie odbywał wycieczek, nie uprawiał turystyki, nie odwiedzał swych kolegów na terenie diecezji, nie korzystał z urlopu, a jeżeli wyjeżdżał to do uzdrowiska klimatycznego Worochta, na Pokuciu, a nie do miejscowości kuracyjnych. Nie leczył się, bo uważał, że nie ma potrzeby. Zbyt ufał swemu zdrowiu, co się później zemściło. Kiedy ciężko się w ostatnich latach rozchorował, to w rozmowie ze mną żałował swej abstynencji kuracyjnej, bo może uniknąłby tej choroby, która już wcześniej dawała znać o sobie. Skarżył się, że nie może sypiać, bo sypia najwyżej 3—4 godziny i że bezsenne nocne mocno go męczyły, zwłaszcza, że musiał często wyjeżdżać w sprawach diecezjalnych. Dużo czytał, nieraz w czasie bezsennych nocy. Miał sporo książek treści ascetyczno-teologicznej, a także prawniczej i ogólnej. Bardzo lubił lekturę pamiętników, wspomnień i miał ich dużą kolekcję. W Sandomierzu mówiono, że „kanclerz jest elegancki”, ale w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie nosił na sobie starych rzeczy: sutanna, płaszcz, obuwie były zawsze w takim stanie, jakby były nowe. Mieszkanie miał skromnie, ale gustownie umeblowane. Lubiał mieć najnowsze rzeczy: był jednym z pierwszych, który nabył aparat radiowy, gdy się one pojawiły, musiał mieć najlepsze wieczne pióro, później długopis, maszynę do pisania itp. Abonował nowe wydawnictwa, nowe książki z dziedziny swych zainteresowań. Miał zasobną bibliotekę.

Szczególną cechą charakteru ks. Franciszka było przywiązanie do ludzi i do miejsca. Był człowiekiem dobrym, życzliwym i uczynnym. Z najbliższą rodziną utrzymywał bliskie i serdeczne stosunki. Poza ojcem, czuł się najbliższy swemu starszemu bratu Antoniemu, który zresztą w wielu sytuacjach życiowych zastępował mu ojca i był stałym łącznikiem po-

między nim a rodziną. Często odwiedzał Sandomierz, gdy ks. Franciszek był profesorem i kanclerzem w Sandomierzu. Spotykałem go tam również za mojego drugiego pobytu w Sandomierzu. Miłość ta była obustronna. Młodszy brat jego dzieciom ułatwiał studia (troje dzieci studiowało na KUL). Przed wojną pomógł w ukończeniu studiów synowi drugiej siostry (ten zginął w obronie Modlina w 1939 r.). Gdy mieszkał w Sandomierzu, jako młody profesor, wakacje i święta spędzał zazwyczaj u rodziny w Słupi. Często tam bywał również w późniejszych latach, gdy był biskupem. Osobny rozdział w życiu ks. Franciszka stanowiła wielka przyjaźń z ks. kan. Czernikiem. Dzielili ich różnica 10 lat. Ks. Czernik był profesorem kleryka Jopa w seminarium duchownym, a później, gdy ten po ukończonych studiach został profesorem, przez parę lat mieszkali obok siebie w domu przy kościele św. Józefa i bardzo przypadli sobie do gustu. Ks. Henryk Czernik był uroczym człowiekiem, wzorowym kapłanem, pogodnym niezrównanym „sąsiadem” i towarzyszem w życiu codziennym. W 1933 r. umarł nagle na angina pectoris ku wielkiemu żalowi wszystkich, co go znali. Stratę odczuł boleśnie ks. Jop „sąsiad” i własnym kosztem ufundował swemu zmarłemu przyjacielowi piękną płytę pamiątkową w prezbiterium kościoła św. Józefa, którego rektorem przez lata był ks. kan. H. Czernik.

Serdeczny, koleżeński stosunek był również ks. Jopa do profesorów — kolegów. Miał wielką zaletę, że był dowcipny, krytyczny, ale nie złośliwy; lubił rozmawiać, ale też umiał innych słuchać, unikał tematów mogących innych urazić, z nikim „nie zadzierał”. Szczególna przyjaźń rewerencjalna łączyła go z ks. biskupem Lorkiem, którego kanclerzem był przez całe lata, którego szanował, a zarazem wiele mu zawdzięczał. Myślę, że i w późniejszych latach miał swych przyjaciół tam, gdzie pracował w Krakowie i Opolu. Jak opiekował się „swymi” księżmi, świadczy jeden drobny, ale bardzo znamienity fakt. W jakiś czas po moim ponownym osiedleniu się w Lublinie (październik 1956 spowodował powrót na KUL tych profesorów, którzy w 1952 byli stamtąd usunięci) prosił mnie listownie ks. bp Jop, bym w jego imieniu odwiedził księdza studenta z Opola, który leżał w miejskim szpitalu ciężko chory. Udałem się tam i zastałem go już po kryzysie, na drodze do wyzdrowienia, co jednak wymagało czasu i opieki szpitalnej. Odwiedziłem chorego jeszcze raz czy dwa i mogłem napisać do Opola, że choroba została przewyciężona. Chorym tym był ks. Alfons Nossol, który, w kilkanaście lat później został następcą bpa Jopa — biskupem ordynariuszem diecezji opolskiej. Sądzę, że takich wypadków troski o innych było dużo, i one, wychodzące poza ramy prawnych zwyczajowych obowiązków, jednały mu serca ludzkie. Czyniąc innym dobrze, nie gubił się jednak bez reszty w osobie, czy w rzeczy lubianej, lecz zachowywał dystans, by również innych darzyć swą życzliwością.

Człowiek przywiązuje się również do miejsca, w jakim przez dłuższy czas przebywa, i do rzeczy, jakie go otaczają. Ks. Franciszek za swych czasów profesorskich w Sandomierzu nieraz mówił o pięknych latach spędzonych na studiach w Rzymie i o słonecznej Italii, którą polubił i gdzie chętnie by zamieszkał. Bliski stał się mu Kraków, gdzie przez cztery lata mieszkał jako wikariusz kapitulny Archidiecezji. Mówił mi, że czuł się uczuciowo związany z Opolem, gdzie pracował przez dwadzie-

ścia lat jako administrator apostolski, a następnie biskup nowej diecezji opolskiej. Ale chyba najwięcej był przywiązany do Sandomierza, w którym mieszkał przez trzydzieści lat, a później często go odwiedzał i gdzie się dobrze czuł. Tam spędził lata swej męskiej młodości, tam dał się poznać jako profesor i kanclerz, a następnie jako biskup sufragan. Wszędzie pozostawił po sobie dobrą pamięć — jako uczynny kolega, jako wzorowy kapłan i jako zasłużony biskup. Have pia anima!